



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Krystyna Malinowska

## Felicjanki z Wawra

Rok 1939. W otoczeniu wyczuwało się jakieś dziwne napięcie. Dorośli zbierali się wieczorami przed swoimi domami i z niepokojem o czymś szeptali. Kobiety gromadziły suchary w płóciennych woreczkach, a mężczyźni przynosili maski przeciwgazowe. Miałam wówczas 6 lat. Mieszkałam przy ul. Gdańskiej w Warszawie.

Aż któregoś dnia padło z ust dorosłych słowo „wojna”. „Niemcy napadli na Polskę” – to zdanie powtarzali wszyscy. Mężczyźni rozpoczęli kopanie okopów przeciwlotniczych na polu między ulicami Rudzką, Gdańską, Leśną. My, dzieci, biegaliśmy niespokojnie wśród dorosłych. Przed furtkami ogródków pojawili się ludzie z Obrony Przeciwlotniczej z opaskami na rękach. Podczas nalotów wszyscy musieliśmy kryć się w tych okopach. Kiedy samoloty odlatywały dzieciaki wybiegały na pole, by zbierać łuski od kulek karabinowych. Wojsko Polskie broniło się w pobliskim Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego (CIWF-ie) i w Lasku Bielańskim.

Któregoś dnia wyszłam z matką do znajomych na Żoliborz. Nalot zastał nas na Placu Wilsona. Nie miałyśmy się gdzie skryć. Przesuwałyśmy się więc pod ostrzałem karabinowym i artyleryjskim wzdłuż murów budynków przy ul. Krasińskiego. Wreszcie ktoś zobaczył to i wciągnął nas na klatkę schodową. Po ustaniu nalotu wyszłyśmy na ulicę. Plac Wilsona ociekał krwią ludzką i końską. Chciałyśmy wrócić do domu. Tym razem szłyśmy ulicą Słowackiego. Rozpoczął się następny nalot. Artyleria stacjonująca na terenie klasztoru SS. Zmartwychwstanek przy ul. Krasińskiego broniła Żoliborza przed niemieckimi atakami z powietrza. Słyszymy, a właściwie biegłyśmy z matką. Nie było się gdzie skryć, gdyż wejścia na klatki schodowe w niektórych domach leżących przy ul. Słowackiego mieściły się od strony podwórek. Z któregoś jednak domu wychylili się polscy żołnierze i kazali nam podbiec. Za ręce wciągnęli nas do środka, a następnie nakarmili i napoili kawą.

Nalot skończył się. Chciałyśmy wrócić do domu. Oficer wyjaśnił, że nie możemy tam iść, ponieważ przy koszarach wojskowych na Gdańskiej obok kościoła księży Marianów usypano barykadę i żołnierze polscy nikogo idącego w kierunku Lasku Bielańskiego nie przepuszczają. Skierowano nas na kwatery do nieznanym nam osób przy ul. Krasińskiego 16.

Przyszła noc. Okna zasłonięte czarnymi roletami, dorośli milczący, niespokojni. Spożyłam skromną kolację (chleb i masło otrzymałam na kartki w pobliskim sklepie). Położono mnie spać na sienniku z dala od okna. W nocy nalot – jeden z najdłuższych i najokropniejszych. W oknach wyleciały wszystkie szyby. Zbudzono mnie. Usiadłam na sienniku i niemalże natychmiast na miejsce, na którym przed chwilą spoczywała moja głowa padł szrapnel. Kazano mi wstać i iść razem z dorosłymi. Wśród odłamków tłuczonego szkła i błysków ognia zbiegliśmy do piwnicy, gdzie pozostaliśmy aż do rana.

Wstał nowy dzień. Wyszedłam z matką na spacer, który trwał niedługo, ponieważ znowu ogłoszono alarm przeciwlotniczy. Ludzie biegli na oślep, kryjąc się w pobliskich domach. Ten nalot spędziłam w piwnicy budynku przy ulicy Mickiewicza róg Mierosławskiego. Trwał on dość długo. Po wyjściu z piwnicy ujrzałam niebo czarne od dymu i czerwone od ognia palących się gdzieś w centrum Warszawy domów.

Na nocleg wraz z matką wróciłam na ulicę Krasińskiego 16. Te niekończące się, przerażające niemieckie ataki miały miejsce przed samą kapitulacją stolicy. Wreszcie można było wrócić do domu. Wróciłyśmy. Następnego dnia chciałyśmy z matką dostać się do budynku Kasy Chorych przy ul. Słowackiego (obecnie w tym miejscu znajduje się Hala Marymoncka) i wówczas moim oczom ukazał się widok, którego nigdy nie zapomnę. Przed nami przesuwały się zwarte kolumny niemieckiej konnicy i piechoty. Szli i jechali z dumnie podniesionymi głowami, jako bohaterowie, zwycięzcy. Za nimi toczyły się działa. Końca nie było widać. Nie można więc było przedostać się na drugą stronę ulicy. Zawróciłyśmy.

W niedługim czasie zetknęłam się z pierwszą niemiecką kuchnią polową, która ulokowała się obok ulic Gdańskiej i Rudzkiej. Rozdzielano tam zupę i chleb dla ludności cywilnej. Jakiś starszy mężczyzna poprosił Niemca przydzielającego chleb o drugi bochenek. Ten jednak z całej siły odepchnął go kolbą karabinu. Nikt więc z oczekujących na prowiant nie ośmielił się już o nic prosić hitlerowców.

Zaczęły się teraz dla mnie i matki smutne, głodne i chłodne dni wojenne. Nie miałam już wówczas ojca, zaś matka nie miała stałego zajęcia. Trudno jej było samej wychowywać małe dziecko. Umieściła mnie więc w pogotowiu opiekuńczym przy ul. Wolność w Warszawie. Stąd przesłano mnie później do sierocińca w Świdrze, mieszczącego się przy ul. Poniatowskiego. Niedługo tam przebywałam. Matka chciała mieć ze mną częsty kontakt i dlatego poprosiła o przeniesienie mnie do domu dziecka SS. Felicjanek w Wawrze. Jak się dowiedziałam po wojnie, któreś nocy Niemcy okrążyli budynek przy ul. Poniatowskiego w Świdrze i wszystkie dzieci wraz z wychowawczyniami wywieźli. Dokąd? Nie wiem. Jeden tylko mężczyzna uratował się, uciekając pod osłoną nocy do pobliskiego lasu.

Wiele działa się podczas mego pobytu w Wawrze. Zaraz na początku lat czterdziestych dziwni ludzie nocą podchodzili pod klasztor. Często rano na śniegu widać było świeże krople krwi. Nam, małym wówczas dziewczynkom wydawało się, że byli to ranni. Często jedna z zakonnice wstawała w nocy i z kimś cichutko rozmawiała. Czyżby chodziło tu o grupę „małego sabotażu”? Przypuszczalnie tak.

Były też przypadki, że budząc się rano zastawałyśmy jakieś nowe dziecko wśród nas. Ktoś je cicho przyprowadzał i jeszcze ciszej pod osłoną nocy odchodził. Tak przybyłych dzieci było 10 i jedna starsza osoba. Przypuszczałam już wówczas i moje koleżanki też, że były to małe Żydóweczki. Zawsze przyjmowała je ta sama, dziś już nieżyjąca zakonnica, siostra Zygmunta. Wychowywałam się więc razem z dziećmi żydowskimi, ale słowo „Żyd” nie padło nigdy z niczyich ust. Nie było też w sierocińcu nigdy żadnej kontroli niemieckiej.

Doznałam też w Wawrze podczas okupacji wielu innych przeżyć. Otóż pewnego październikowego ranka, chyba w 1942 roku, podczas spożywania śniadania przez dziewczynki z sierocińca cicho otworzyły się drzwi jadalni i na środek sali weszło dwóch Niemców. Poszukiwali jakiejś zakonnicy. Niebawem okazało się, że była nią matka prowincjalna siostra Maria, z pochodzenia Amerykanka. Została ona wówczas aresztowana, doprowadzona przez hitlerowców do oczekującej za ogrodzeniem budy i zawieszona na Pawiak, gdzie więziono ją przez kilka miesięcy.

Innym razem podjechał na motorze pod ogrodzenie klasztoru Niemiec w wojskowym mundurze wraz z siedzącym z tyłu cywilem. Cywil krzyknął, abym przekazała siostrom informację, żeby natychmiast otwarły wszystkie okna, ponieważ na dworcu kolejowym w Wawrze będzie wysadzana bomba-niewybuch.

Nadszedł 1 sierpnia 1944 roku. Tuż przed tą datą widziałam po raz ostatni moją matkę. Dnia 1 sierpnia 1944 roku gdzieś około godziny 17.30 przebywałam wraz z grupką rówieśnic na chórze kościelnym (trwała nauka nowych pieśni religijnych). Po upływie pewnego czasu ktoś wbiegł tam zdyszany z okrzykiem: „Powstanie się zaczęło!”. Nie pozwolono nam już pójść do naszych pomieszczeń przez park, lecz poprowadzono przez podziemia kościelne (mieściła się tam sala gimnastyczna, scena i kulisy dla młodzieży występującej w różnych sztukach teatralnych). Zgromadziła się tam już okoliczna ludność.

Przez dłuższy czas pozostawałyśmy w pomieszczeniach klasztornych. Z budynku sierocińca przeniesione zostały podstawowe przedmioty: sienniki, odzież, ubranie i inne niezbędne rzeczy. W tym to czasie zaginęły mi wszystkie pamiątki rodzinne i trochę osobistych drobiazgów.

Początkowo dzieci z sierocińca zajmowały miejsce na scenie i w części kulis, zaś okoliczna ludność rozlokowała się w sali gimnastycznej. Nie trwało to jednak długo. Wkrótce bowiem okupanci wypędzili wszystkich ludzi i sami rozpanoszyli się w tych podziemiach. Przebywały tam kolejno różne jednostki niemieckie, piechota, artyleria i inne.

Do późna w nocy rozlegały się głośne śpiewy żołnierzy. Nie można było zasnąć. Wspomniana już siostra Zygmunta, znająca dobrze język niemiecki, zdobyła się na odwagę i poprosiła dowódcę, by umożliwił dzieciom spokojny sen. Od tej pory żołnierze śpiewali ciszej i krócej.

Na terenie parku klasztornego stała wojskowa kuchnia polowa. W czasie, kiedy teren klasztorny zajmowała niemiecka piechota, chodziłam tam wraz ze starszą ode mnie koleżanką po zupę, chleb i inny prowiant dla wszystkich dzieci.

Najgorzej było, kiedy przy klasztorze stacjonowali czołgiści. Wszystkie bardzo się ich bałyśmy. Któregoś ranka zobaczyłam, że czołgi odjechały, ale na terenie kościoła pozostali jeszcze niemieccy żołnierze w czarnych mundurach. Było ich niewielu. Od tej pory nie wolno było wchodzić do kościoła. Nabożeństwa odbywały się tylko w chórze zakonnym.

Po co ci Niemcy pozostali? Byli to z pewnością saperzy, których zadaniem było wysadzenie kościoła w powietrze. Dzień i noc wyla maszyna, wierząc otwory w ścianach, w których miały być umieszczone ładunki wybuchowe. Takie ładunki założono już na wyższej wieży kościelnej. W krużgoczu wisiał olbrzymi krzyż z figurą Chrystusa. Niemcy wynieśli go z kościoła i postawili przy parkowej ubikacji. Trzy zakonnice znające dobrze język niemiecki udały się do dowódcy z prośbą, by przynajmniej w nocy zaprzestano wiercenia. Poskutkowało. Te same zakonnice zabrały też krzyż spod parkowej ubikacji i postawiły obok bocznego wejścia klasztornego. Za ten czyn miały być rozstrzelane. Na szczęście Niemcy groźby nie wykonali.

Stopniowo przygotowywano wszystkich do ewakuacji. Mielśmy opuścić teren klasztoru i udać się w kierunku Pragi. Siostry zakonne miały iść oddzielnie, dzieci oddzielnie. Dlatego też nasza wychowawczyni dobierała nas parami, abyśmy przynajmniej szły po dwie (młodsza ze starszą). Mnie przydzielono pod opiekę młodszą, kilkuletnią dziewczynkę, chociaż sama miałam dopiero 11 lat.

Do okolic Wawra zbliżało się już jednak Wojsko Polskie z Armią Czerwoną. Ciągłe powtarzano słowo „ofensywa”. Rozpoczął się silny atak karabinowy, artyleryjski i z powietrza. Skryłyśmy się więc w piwnicy klasztornej, w której spędziłyśmy większość dnia. Siostry zakonne próbowały gotować obiad, by przynajmniej nakarmić dzieci. Otrzymałam wtedy jakąś zupę i kawałek chleba.

Dnia 10 września 1944 roku około godziny 15-ej do piwnicy wbiegła młodziutka zakonnica z okrzykiem „Wojsko Polskie!”. Pomieszczenie natychmiast opustoszało. Zobaczyłam wówczas polskich i radzieckich żołnierzy. Byli brudni, zakurzeni, zmęczeni ale szczęśliwi, że widzą uśmiechnięte buzie polskich dzieci. Całowali nas, uchylali klapy swych mundurów i pokazywali przypięte do nich medaliki oraz wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej. Radość była ogromna. Wszyscy ściskali się, całowali, płakali.

Inni żołnierze poszukiwali ukrytych Niemców. Tych, którzy przygotowywali kościół do wysadzenia. Znalezione ich. Co jednak z nimi się stało – nie wiem.

Teraz na terenie parku i klasztoru rozlokowało się wojsko radzieckie i polskie. Okoliczni mieszkańcy powracali do swoich domów. Niektórzy z nich pozostawili przy klasztorze swoje zwierzęta, np. kozy i psy, którymi dzieci się opiekowały. Teraz je odebrano. Poznałam wtedy młodych polskich żołnierzy, ale niebawem zostali oni wysłani na front praski. Zaznajomiłam się też z jednym rosyjskim majorem, który bardzo często przyjeżdżał terenowym samochodem z Rembertowa i rozmawiał z przełożoną klasztoru.

Po wkroczeniu Wojska Polskiego nie było jednak w Wawrze pełnego spokoju. Mimo to zakonnice postanowiły wznowić zajęcia lekcyjne przerwane przez wakacje, powstanie i ofensywę. Przez cały okres okupacji niemieckiej siostry prowadziły zajęcia w szkole podstawowej, gimnazjum i liceum ogólnokształcącym, dla niepoznaki nadając tym ostatnim charakter szkoły gospodarczej. Historii i geografii uczono potajemnie.

Wrócili ludzie do swoich domów, a wraz z nimi ich dzieci. Na początku października 1944 roku wznowiono zajęcia lekcyjne w szkole podstawowej. Wszystkie budynki, mieszczące wcześniej szkołę, uległy zniszczeniu, dlatego też zakonnice oddały na ten cel dwa pomieszczenia klasztorne. Zajęcia jednak niebawem trzeba było przerwać. Klasztor, a szczególnie wysoka wieża kościelna, stanowiły doskonały punkt obserwacyjny. Niemiecka artyleria stacjonująca w Pruszkowie bez przerwy kierowała w to miejsce swój ogień.

Wróć na chwilę do pewnej przykłej sprawy, która wydarzyła się w październiku 1944 roku. Mój kolega Jurek razem z młodszym braciszkiem, zamieszkali przy ul. Płowieckiej w Wawrze, bawili się jakąś znaną zabawką. Później okazało się, że była to mina. Podczas zabawy rozerwała się i zabiła na miejscu obu chłopców. Zostali oni pochowani na Cmentarzu Ofiar Wojny na Marysinie Wawerskim. Był to pogrzeb niezmiernie smutny. Uczestniczyło w nim wiele zakonnice, mieszkańców Wawra i Anina oraz dzieci ze szkoły podstawowej siostr Felicjanek.

Którejś październikowej nocy niemiecka bomba zapalająca zniszczyła całkowicie niższą wieżę kościoła. Uszkodzona została też przez pociski artyleryjskie wyższa wieża. Zawaliła się lewa część głównego ołtarza oraz nastąpiło pionowe pęknięcie jednej ściany na całej jej długości. Całkowitemu

zniszczeniu uległa drewniana plebania, zaś na terenie klasztorным pełno było bardzo głębokich lejów po pociskach artyleryjskich. Nikt z ludzi nie doznał na szczęście żadnych obrażeń i nikt nie zginął.

Ponieważ artyleria niemiecka nie przestawała kierować pocisków w naszą stronę, dowództwo polskie i radzieckie po naradzie z przełożonymi klasztoru postanowiło wysadzić w powietrze szczyt wyższej wieży kościelnej. Częściowo wykorzystano do tego celu podłożony wcześniej przez hitlerowców materiał wybuchowy. Resztę wykonali nasi saperzy. Przed zaplanowaną akcją kazano wszystkim opuścić ten teren. Pozostały tylko starszki, ciężko chore zakonnice i te, które z własnej woli nie chciały opuścić klasztoru. Po południu sznur zakonnice, dzieci i osób świeckich udał się ówczesną ulicą Dębową w kierunku Cmentarza Ofiar Wojny. Po pewnym czasie usłyszałam cichy dźwięk dzwonu z wysokiej wieży klasztornej, odzyskującego się po raz ostatni na wieczorny „Anioł Pański”. Było to niesamowite wrażenie. Następnie zobaczyłam błysk ognia i usłyszałam huk. Drobne kamienie z wieży potoczyły się prawie na odległość 500 metrów. Wszystko ucichło. Pozostał tylko smutny kikut dużej wieży, przed wejściem do kościoła pęknięcie ściany i olbrzymia sterta gruzu, który później wykorzystano do powiększenia grotty z figurą Matki Bożej w parku kościelnym.

Często przywożono z Pragi trupy polskich żołnierzy i chowano je we wspólnych dołach na Cmentarzu Ofiar Wojny. Ciała poległych były bez mundurów, w bieliznie, zawinięte w prześcieradła. Spod przykrycia zwisały części ciała. Raz były to odłamane ręce, innym razem nogi. Wyznaczona grupa małych dziewczynek razem z dwoma zakonnicami, często nawet bez księdza, towarzyszyła tym poległym w walkach o Warszawę w ich ostatniej ziemskiej pielgrzymce. Zazwyczaj zakonnice odmawiały modlitwy, a dzieci śpiewały „Salve Regina”.

Oto pewnego dnia dotarła do klasztoru niezmiernie przykra wiadomość. Dwudziestu dwóch polskich żołnierzy i wspomniany wcześniej major radziecki zginęli pod gruzami na terenie sztabu w Rembertowie. Większość z nich była mi dobrze znana. Pomagali nam, dostarczając do klasztoru żywność. W miejscu, w którym przebywali w Rembertowie wybuchła pozostawiona przez Niemców bomba i pogrzebała wszystkich. Pozostał tylko pies – wilczur, wabiący się Aza, z którym często bawiłam się przed klasztorem. W pogrzebie żołnierzy uczestniczyła cała okoliczna ludność, zakonnice i dzieci z sierocińca. Pochowano ich na terenie Cmentarza Ofiar Wojny we wspólnej długiej mogile od wschodniej strony lasu.

W okolicy miało też miejsce inne ważne wydarzenie. Otóż na terenie Zakładów Amunicyjnych w Rembertowie, w tzw. „Pocisku”, doszło do wybuchu składu broni. We wszystkich okolicznych domach wyleciały z okien szyby. Nikt na terenie klasztoru nie doznał jednak obrażeń.

Tymczasem Warszawa ciągle była zajęta przez Niemców. W okolicy Wawra i w Wawrze stacjonowało wojsko radzieckie i polskie. Część żołnierzy zajęła pomieszczenia klasztorne, inni mieszkali w ziemiankach w pobliskim lesie. Oczywiście największe skupienie wojska było w Rembertowie.

Stacjonujące w okolicy oddziały wydatnie pomagały dzieciom z sierocińca. Żołnierze często dzielili się z nami swoimi racjami żywnościowymi. W dowód wdzięczności z polecenia przełożonej prowincjalnej, matki Marii Symplicyty, dwie zakonnice, rodzone siostry (Józefa i Helena Lipińskie – w klasztorze siostra Monika i siostra Auxilia) wyhaftowały sztandar dla brygady Wojska Polskiego. Widniał na nim wizerunek św. Barbary. Wręczenie sztandaru dowódcy brygady odbyło się w listopadzie 1944 roku. Na uroczystość poświęcenia owego sztandaru zaproszono wychowanki domu dziecka w Wawrze wraz z opiekunkami. Wśród tych dziewczynek znalazłam się i ja. Pamiętam, że wiał wówczas przeszywający zimnem wiatr. Msza św. i poświęcenie sztandaru odbyło się w szczerym polu w okolicy wsi Grodzisk, niedaleko Marek. Gdzieś w dali słychać było głuchoe odgłosy toczącej się walki. Byłam wtedy tak zmarznięta, że po skończonej uroczystości nie mogłam iść. Jakiś polski oficer włożył na moje sztywne z zimna ręce swoje wojskowe rękawice i zaprowadził do ciepłego pomieszczenia. Rozgrzałam się. Później terenowym samochodem żołnierz odwiózł nas do Wawra.

Spokoju w Wawrze i okolicy nadal nie było. Hitlerowcy bez przerwy nekali nas nalotami. Szczególnie przykre były naloty nocne, których tak bardzo się bałam. Niemiecki ostrzał artyleryjski z Pruszkowa ustał po wysadzeniu dużej wieży kościelnej.

Zbliżał się grudzień 1944 roku, a wraz z nim Wigilia i gwiazdka. Pierwsza Wigilia i pierwsze od kilku lat święta w części Polski wyzwolonej spod okupacji. Dzieci w szkole przygotowywały zabawki choinkowe dla naszych żołnierzy. W Wigilię samochodem terenowym przyjechał ze sztabu w Rembertowie polski żołnierz, by zabrać kilkusobową grupkę dziewcząt z dwoma zakonnicami – siostrą Zygmunta i siostrą Józefiną, celem uświetnienia tej wielkiej dla wszystkich uroczystości. W gronie wybranych dziewcząt znalazłam się i ja. W środku olbrzymiej sali stała wielka, wspaniała choinka z błyszczącymi bombkami, zaś po bokach umieszczone zostały stoły ze świątecznymi potrawami. Śpiewaliśmy kolędy i recytowaliśmy wiersze patriotyczne, wśród których znalazł się utwór Jana Kasprowicza „Czuwaj”:

Idź – czuwaj!  
Do czynu ciągłego żołnierzu  
wyciągnij ramiona.

Ojczyzna sprawności twej wzywa,  
do Ciebie ma prawo i ona.  
Idź – czuwaj!  
Cokolwiek by losy zrzędziły  
jest Polska i będzie,  
dopóki starczy jej siły!

Słowa te brzmią mi jeszcze do tej pory w uszach. Wśród ogólnej radości, śmiechu, uścisków spędziłam tę Wigilię. Późnym wieczorem żołnierz odwiózł nas do Wawra. Ledwo położyliśmy się spać, gdy ktoś cicho zastukał w okno. To z pobliskiej ziemianki w lesie przybył polski żołnierz, by zaprosić dzieci z opiekunkami na niecodzienne spotkanie. Dochodziła północ. Po niebie powoli przesunął się srebrny księżyc, a pod nogami chrzęścił biały, ubity śnieg. Weszliśmy do oświetlonej ziemianki. Pod ścianą stał długi stół, a przy nim spożywali kolację wigilijną żołnierze z oficerami. W kątku stała nieduża, pięknie przystrojona choinka. Jakże tam było miło, ciepło, przytulnie! Znowu były kolędy i wiersze patriotyczne. Spotkanie to wywarło na mnie niezatarte wrażenie.

Po świętach zaprosiliśmy polskich żołnierzy do uczestnictwa w jasełkach, śpiewania polskich kolęd i recytacji wierszy.

Któregoś grudniowego dnia zobaczyłam stojącą w drzwiach koleżankę. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Była brudna, zmarznięta, zawszona. Dziewczynką tą była jedenastoletnia Rysia Kostrzewa. Skacząc po lodowych krach Wisły przedostała się z lewego na prawy brzeg rzeki i szczęśliwie dotarła z Warszawy do domu dziecka w Wawrze.

Nadszedł dzień 17 stycznia 1945 roku. Skończyły się naloty. Znowu była cisza i spokój. Warszawa była wolna. W sierocińcu wciąż jednak brakowało opału, pożywienia, lekarstw, mydła. Dzieci bardzo chorowały. Jedna z dziewcząt zmarła na tyfus brzuszny, inną udało się uratować. Wojsko Polskie ciągle nam pomagało.

Dla mnie z chwilą oswobodzenia Warszawy, a później całej Polski, nie zakończyły się smutek i cierpienie. Nie odnalazła się moja matka, z którą rozłączono mnie w 1940 roku. Nie odnalazłam jej już nigdy. Ślad po niej zaginął. Według informacji uzyskanych z PCK z Paryża miała zostać zamordowana w obozie koncentracyjnym Ravensbrück w lutym 1945 roku (numer więzienny 56609). Cóż za ironia losu. Żyła ona jeszcze w lipcu 1944, a zginęła w lutym 1945 roku, a więc wówczas, gdy już znaczna część terytorium Polski była wolna. Powracali ludzie do swoich domów. Wracali ojcowie, matki i dzieci. Do mnie jednak nikt nie powrócił i ja nie wróciłam do nikogo...